



27 maja 2008 roku odszedł do Pana śp. Ojciec Eugeniusz Ożóg SJ.

Jezuita, kapłan, psycholog, pisarz, publicysta, długoletni duszpasterz Polaków w Wiktorii. Rektor Polskiego Sanktuarium Maryjnego w Essendon.

Urodził się w Zalesiu, koło Rzeszowa, 23 października 1932 roku. Do zakonu jezuitów wstąpił w lipcu 1950 roku. Świecenia kapłańskie otrzymał w Warszawie w sierpniu 1960 roku. W 1966 roku ukończył studia psychologiczne na uniwersytecie poznańskim. Doktoryzował się z psychologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

W Polsce był duszpasterzem akademickim i wykładowcą psychologii na Fakultecie Filozoficznym w Krakowie, dyrektorem wydawnictwa WAM. Od 1977 do 1983 roku był prowincjałem polskiej prowincji jezuitów, a od 1983 do 1987 redaktorem miesięczników „Posłaniec” i „Nasze Sprawy”.

Do Australii przybył na stałe w 1987 roku i przez przeszło dwadzieścia lat niósł duszpasterską posługę Polakom w Wiktorii.

Niemal każdego miesiąca przewodniczył

Mszy świętej, odtwarzanej dla chorych słuchaczy na falach społecznego radia 3ZZZ w Melbourne. Publikował też wiele artykułów, m.in. w Tygodniku Polskim.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniach 31 maja – 2 czerwca 2008 r. Modlitwa Różańcowa odmówiona została w sobotę 31 maja, a w niedzielę 1 czerwca w Polskim Sanktuarium Maryjnym w Essendon z polskimi księżmi jezuitami Żalobną Mszę św. koncelebrowali: Father Mark Raper SJ, prowincjał księży jezuitów w Australii i Nowej Zelandii oraz ks. Henryk Zasiura S.C., z Kanberry, reprezentujący Prowincję Księży Chrystusowców w Australii.

Ojciec Mark Raper, długoletni i wypróbowany przyjaciel Polaków, pięknie podziękował polskiej społeczności w Essendon za bezprzykładną troskę o o. Eugeniusza w jego posłudze i chorobie.

Msza św. Pogrzebowa odprawiona została w poniedziałek, 2 czerwca w kościele św. Ignacego w Richmond, po czym nastąpiło Ostatnie Pożegnanie na cmentarzu w Carlton.

Józefa Jarosz

Eucharystię, czyli wielkie dziękczynienie, sprawujemy zwykle raz dziennie. Uczestniczymy we Mszy świętej, a potem wracamy do naszych zajęć codziennych, do trosk i radości, słowem do codziennego życia; do sakramentu, czyli do tajemnicy życia, które zasługuje w każdym wypadku na wielką wdzięczność, nawet wtedy, gdy jest trudne, a może przede wszystkim właśnie wtedy postawa eucharystyczna, czyli chwała i dziękczynienie Bogu Najwyższemu winno płynąć z głębi serca.

Przyszło do mnie jako największy dar od Boga za pośrednictwem rodziców.



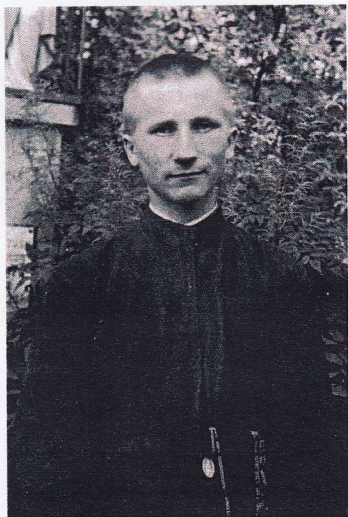
Przekazał mi je ojciec, a matka przyjęła i strzegła jak żrenicy oka, nie bacząc na ofiary. Chwała i dziękczynienie! Za ojca, który wziął na siebie odpowiedzialność i ciężko pracował, by to, co się poczęło mogło wzrastać i dojrzawać. Za matkę, za każdy jej uśmiech, za wszystkie kromki



chleba razowego, których niekiedy brakowało, bo bezwzględny okupant zabierał zboże rolnikom, by dzielny żołnierz niemiecki walczący o wielką sprawę rasy nordyckiej nie był głodny. Matka smarowała owe kromki cienką warstwą masła, ale bardzo grubo smarowała je miłością i dlatego po tylu latach ciągle czuję ich niepowtarzalny smak.

Chwała i dziękczynienie za siostrę, która jeszcze żyje i za brata oczekującego nas w wieczności. Wadziliśmy się czasem, jak to wśród dzieci bywa, ale gdy rodzice przywozili z targu cukierki wyrabiane z cukru, małe jak drobne poziomki, dzieliłiśmy się nimi najsprawiedliwiej jak tylko można to było uczynić. Zanikały wszelkie animozje. Chwała i dziękczynienie za dziadka, z którym pasłem krowy, a on opowiadał mi o swoim koniku, na którym jeździł w armii austriackiej i dał spróbować, jak smakuje pokuśliwa dla takiego jak ja nastolatka fajka. Była niedobra, czuję do dziś jej gorycz.

Chwała i dziękczynienie za uratowane mi życie przez ojca, który prostym wiejskim



sposobem, uleczył mnie kielichem czystego spirytusu wlanego na zniszczony już bakterią przewód pokarmowy. Miałem żyć. Chorowałem na popularną wtedy wśród dzieci czerwonkę, wiele z nich pomarło, ja przeżyłem. Była wiosna, niedojrzałe jeszcze owoce i wyczerpane po zimie organizmy. Trudne czasy

naznaczone łaską Pana Najwyższego.

Chwała i dziękczynienie, że nie zostałem kaleką, że unikałem strasliwego niebezpieczeństwa, że nie straciłem życia zabawiając się jak inni chłopcy śmiercionośną bronią zostawioną w naszych lasach przez uchodzących Niemców i przez nikogo niestrzeżoną przez parę przynajmniej tygodni. Niestety, dla wielu moich kolegów zabawy te skończyły się tragicznie. Nie udało się im wydostać z wielkich pocisków armatnich czegoś w rodzaju zegarka, wmontowanego pewnie w celu opóźnienia wybuchu.

Chwała i dziękczynienie. Od wczesnej młodości stałem blisko ołtarza. Byłem ministrantem. Eucharystia stawała mi się coraz bliższa. Nie ważne było to, że na rotaty trzeba było wstawać po ciemku i maszerować do kościoła w mroźne zimowe poranki przez zamrożone, groźne jeszcze o tej porze pola. Potem były święta i niczym nieopisana radość chodzenia razem z księdzem od domu do domu po kolędzie, w białej komży, z dzwonkiem oznajmującym nadejście oczekiwanego Go-



ścia.

Chwała i dziękczynienie za pierwszą Komunię świętą. Była tak skromna, że prawie niepozorna, bo w czasie okupacji, i nigdy już chyba nie jadłem tak smacznej bułecz-

Potem przyszły jeszcze lata studiów specjalistycznych, a po ich ukończeniu odpowiedzialności. Były to czasy złe, ukrytej i otwartej walki z Kościołem, z zakonami. Nie łatwo było znaleźć jakiś modus viven-



ki z kubkiem zbożowej kawy, uczyli zorganizowanej w salce katechetycznej. Potem przyszło wzrastanie i dojrzewanie do wyboru kierunku życia. Za sprawą mojej ciotki pojawili się na horyzoncie mego życia jezuita. Wstąpiłem do nowicjatu. Przez dwa lata uczono mnie modlitwy, ignacjańskiej medytacji i tysiąca drobnych codziennych spraw związanych z życiem zakonnym. Odprawiłem zgodnie z planem wielkie miesięczne rekolekcje, a potem złożyłem wieczyste śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Zostałem jezuitą. Chwała i dziękczynienie.

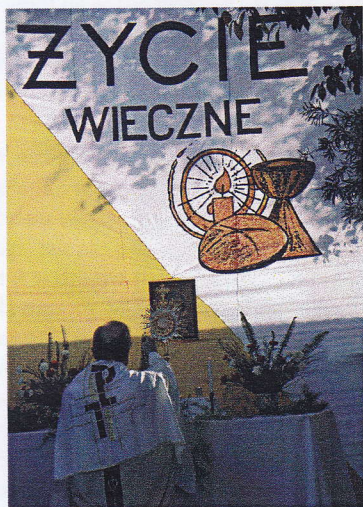
Przyszły lata studiów w gronie wspaniałych kolegów i przyjaciół. Stłoczeni na małej przestrzeni, bo duża część kolegium zajęta była przez szpital, czuliśmy się dobrze. Uczyli nas filozofii i teologii dobrzy profesorzy i dobrzy ludzie, przygotowując do kapłaństwa. Po pięciu latach spłynęło ono na mnie w warszawskim wieczerniku. Stałem się kapłanem. Chwała i dziękczynienie.

di, o który zabiegał wielki Prymas kardynał Stefan Wyszyński.

Chwała i dziękczynienie za to, że Pan pozwolił mi sprawować przez wszystkie te lata tysiące razy Eucharystię dla Ludu Bożego, wygłaszać tysiące kazań, rekolekcji i skupień, że pozwolił mi wysławiać Go także na piśmie; za każdą spowiedź, za moje wypowiedziane w imię Jezusa: Ja ciebie rozgrzeszam i za łzy szczęścia, z którymi wielu ludzi w oczach opuszczało konfesjonał, miejsce pojednania z Bogiem; za bezmiar miłosierdzia Bożego, którego sam ustawicznie doznawałem i doznaję. Spływa ono na naszą esendońską wspólnotę z obrazu umieszczonego na honorowym miejscu, przywiezionego kilkanaście lat temu z Krakowa, miejsca uprzywilejowanego i uświęconego życiem i śmiercią świętej siostry Faustyny.

Chwała i dziękczynienie za wszystkie dobre lata spędzone z woli przełożonych i nie bez mojego chętnego przyzwolenia w

Australii, za wspólnotę wspaniałych ludzi, zgromadzonych u stóp Matki Boskiej Częstochowskiej, patronującej nam tu na Essen-donie i zawsze gotowych do bezinteresownej służby, za moich zakonnych współbraci, z którymi wypadło dzielić mi życie, za nasze wspólnie i indywidualnie podejmowane



dzielna przestaje być chwilą, zaczyna rozciągać się i przenikać każdą minutę życia, które niesie ze sobą i przypomina o wielkich darach Bożych i o wdzięcznym sercu. Tak często myślimy z bólem, a niekiedy i z goryczą, o niepowodzeniach, o trudach życia, a mało zastanawiamy się nad niepojętą dobrocią Bożą obsypującą nas na każdym kroku darami swej niewyczerpanej nigdy miłości.

Przeżywamy w tych dniach Uroczystość Bożego Ciała i Krwi Pańskiej. Starym polskim zwyczajem wychodzimy z Bogiem ukrytym w chlebie na ulice miast lub przynajmniej na place kościelne, gdy nie można inaczej, by zmanifestować naszą wiarę w tę niepojętą Tajemnicę i równocześnie zwrócić uwagę ludzi na Miłość – jedyną siłę zdolną przekształcić świat na lepsze.

Ks. Eugeniusz Ożóg SJ



pra-
ce apostołskie dla dobra tego Kościoła, za wszystkie radości i troski, których przecież nigdzie nie brakuje.

Chwała i dziękczynienie za wielkie odkrycie niezliczonego grona prawdziwych przyjaciół w czasie choroby, za ich serdeczną modlitwę, dzięki której, jestem o tym głęboko przekonany, zbliżam się do Pana bez lęku, za ich troskę niespotykaną o sprawy związane z leczeniem, które praktycznie nie ma szans powodzenia.

Eucharystia dnia codziennego, czyli wielkie dziękczynienie, jest postawą zasadniczą, którą wynosimy, a przynajmniej powinniśmy wynosić ze sobą, ze spotkania z Jezusem w sprawowanej Eucharystii. Wtedy Msza święta nie-

Uczestniczymy dzisiaj w uroczystości z okazji przeprowadzenia z ziemi do domu Ojca Niebieskiego, długoletniego rektora tego Sanktuarium, kapłana, wspaniałego kaznodziei i pisarza, psychologa, przyjaciela, dobrego administratora, „proboszcza”, jak go zwykliśmy nazywać, ale przede wszystkim

aby mocą samego Chrystusa udzielać sakramentów, głosić Boże słowo, jednać ludzi, rozgrzeszać, pouczać i prowadzić do Boga. Wierny temu powołaniu, z jakimże żarem głosił nam w tej świątyni Bożą prawdę, Bożą miłość.



ukochanego przez nas ojca i duszpasterza, księdza Eugeniusza Ożoga.

Moim zadaniem dzisiaj jest wezwać wszystkich obecnych w tej świątyni do dziękczynienia, do dziękczynnej modlitwy za całe życie Ojca Ożoga, a przede wszystkim za wspaniałe dzieło, jakie przez jego kapłańską posługę dokonał pośród nas sam wszechmogący Bóg. Zaszczyt ten spotyka mnie nie tylko z racji pełnionej funkcji, ale także dlatego, że należę do grona ludzi, którzy mu bardzo wiele zawdzięczają.

Śp. Eugeniusz był z ludu przez Boga wzięty, z polskiego ludu, grzeszny, jak każdy człowiek, i dla ludu postanowiony, aby sprawować na tej ziemi Chrystusowe kapłaństwo;

Jak Mojżesz z dzisiejszego pierwszego czytania, tak i on stawiał ciągle przed nami błogosławieństwo i przekleństwo i kazał nam wybierać. Zachęcał nas ustawicznie, byśmy Słowa Boże brali głęboko do serca i abyśmy nimi żyli.

Prosił nas, byśmy naszego szczęścia i przyszłości naszych rodzin nie budowali na piasku przelotnej mody, złudnych nadziei i fałszywych obietnic, jakże pięknie podawanych ludziom na różne sposoby przez współczesne prądy i filozofie. Ukazywał nam Chrystusa, jedynego Zbawcę, Tego, który zna ludzkie serca i potrafi zaradzić najgłębszym naszym tęsknotom.

Dwadzieścia lat był naszym duszpasterzem.

Dzielił nasze smutki i radości. Cyklicznie, co roku, wraz z całym Kościołem Powszechnym przybliżał nam historię zbawienia, uobecniał zbawczą moc Chrystusa w tej świątyni. Chrzcił polskie dzieci, odprowadzał na wieczny spoczynek naszych zmarłych, był powiernikiem naszych niepokojów i trosk. Był z nami na każdy dzień, troszcząc się nie tylko o tę naszą polską świątynię, upiększając ciągle jej wygląd, ale przede wszystkim zabiegając o nasze dusze, o nasze wieczne szczęście.

Przez ostatnie półtora roku, w jego chorobie i cierpieniu, w jego słabościach i powolnym umieraniu ukazywała się nam moc samego Boga, jak nas poucza dzisiaj święty Paweł Apostoł w drugim czytaniu biblijnym. Ukazywała nam się Miłość Boga. Im bliżej Ojciec Eugeniusz dochodził do końca swej ziemskiej wędrówki, tym mocniejsza wydawała się być jego wiara, tym gorętsza miłość i większa moc zaufania Panu. Nie mogły go już swobodnie nosić popuchnięte nogi, ale ileż w jego oczach było Bożego żaru, ile determinacji, by służyć nam do końca, by do ostatniego tchnienia dawać całym sobą świadectwo Bożej Miłości.

Przestało bić serce naszego duszpasterza i Ojca. Umilkły jego usta, zgasły płomienne słowa. Dopaliła się pochodnia odpowiedzialnej służby i dojrzałej miłości, zapalona niegdyś przez samego Boga. I dzisiaj wraz z Ojcem Eugeniuszem dziękujmy Bogu. Jego odchodzenie od nas, jego umieranie na naszych oczach przepełnione było jednym wielkim dziękczynieniem.

Każda Msza święta, to wielkie dziękczynienie samego Jezusa Chrystusa, naszego Brata w człowieczeństwie, składane w naszym imieniu Niebieskiemu Ojcu. Dlatego też przy

ołtarzu, którego przez 20 lat strzegł Ojciec Eugeniusz, umieszczamy dzisiaj jego schorowane ciało i zebraliśmy się tak licznie, aby wyśpiewać Bogu hymn dziękczynienia.

Tylko Miłość, nieskończona Boża Miłość, zauważana codziennie i pokornie przyjęta może przemienić świat i odwrócić panoszące się zło. Tylko nieskończona Boża Miłość, do której tak pięknie na naszych oczach dojrzał Ojciec Eugeniusz, i którą nam z wielkim żarem głosił, może być godnym celem naszego ludzkiego życia, może się stać naszą nadzieją i może nam przynieść pociechę w chwili rozłąki.

Ks. Wiesław Słowik SJ



Wspomina Jerzy Kmita

Było to jednej czerwcowej niedzieli tuż po naszym przyjeździe do Australii. Kiedy po Mszy św. w Sanktuarium Maryjnym w Essendon staliśmy na placu kościelnym, podszedł

następnego dnia i to my byliśmy świadkami Jego ostatniej Komunii św. i udzielania Sakramentu Chorych przez ks. Ludwika Rybę.

Do ostatnich godzin życia ks. Eugeniusz interesował się wszystkim, co się wokół niego



do nas Ksiądz i z troską zaczął wypytywać o naszą rodzinę, o plany na przyszłość. Powiedziała mu wtedy, że podobają mi się jego homilie. Uśmiechnął się i odrzekł, że przecież wszystko to słyszeliśmy wiele razy, więc chodzi tylko o to, żeby to samo powiedzieć jeszcze raz, ale inaczej. Jak brzmi to samo powiedziane inaczej, słyszeliśmy w ostatnią sobotę po zakończeniu Modlitwy Różańcowej za spokój duszy śp. ks. dr. Eugeniusza Ożoga, gdy z taśmy odtworzono Jego homilię. Nasza z Nim znajomość, zawarta pod kościołem w Essendon, przerodziła się w przyjaźń. Myślę, że moja rodzina i ja zajmowaliśmy w sercu ks. Eugeniusza miejsce szczególne. Udzielał ślubu naszej córce Kasi z zięciem Andrzejem, chrzczył naszych wnuków Krystiana i Olivera, ostatni swój urlop spędził z nami w Centralnej Australii, ostatni posiłek (kolacja!) spożyty przez Niego w szpitalu na cztery godziny przed odejściem do wieczności przygotowany był przez moją małżonkę Krystynę, to my ostatni ucałowaliśmy schorowane dłonie czcigodnego Kapłana z nadzieją na spotkanie

działo. Planował ukończenie dwóch artykułów; jeden z nich miał szczególnie osobisty charakter. Może najbardziej interesował się pracami porządkowymi wokół Sanktuarium Maryjnego w Essendon. Martwił się czy te zaplanowane prace, związane z małą architekturą, będą ukończone przed niedzielą... (Kiedy w sobotę około godziny 14.00 odjeżdżałem z Essendon, Sanktuarium było przygotowane perfekcyjnie na ostatnią wizytację dostojnego Gospodarza). Ksiądz dr Eugeniusz Ożóg był człowiekiem o ogromnej kulturze wewnętrznej. Zgromadził i zjednoczył wokół siebie i Sanktuarium wspaniałych ludzi. Na przestrzeni tych wielu lat pracowałem z Księdzem nad kilkoma projektami. W każdym z tych przypadków było to dla mnie wspaniałe doświadczenie w wielu wymiarach.

Dziękuję Panu Bogu za dar wspaniałego kapłana, jakim dobry Bóg obdarzył nas w Australii w osobie ks. dra Eugeniusza Ożoga.

Wspomina Zbigniew Nowakowski

Śp. księdza Eugeniusza poznałem krótko po Jego przyjeździe do Australii. Dowiedziałem się, że potrzebni są chętni do pomocy przy porządkowaniu terenu kościoła w Essendon, gdzie też się wkrótce znalazłem. Ksiądz zrobił na mnie duże wrażenie, widać było, że mam do czynienia z człowiekiem o ogromnej kulturze i nieprzeciętnym intelekcie.

no w ramach działalności Klubu, jak i poza tymi ramami, miałem możliwość uczestniczenia w niezwykle ciekawych spotkaniach i dyskusjach o różnorodnej i bogatej tematyce, w które zawsze miał ogromny i interesujący wkład. Z upływem czasu stawał się dla mnie coraz bardziej bliskim Człowiekiem i coraz bliższym ideału Kapłanem Bożym. Spotkania nasze nie ograniczały się wyłącznie do



Zachowywał się bardzo grzecznie i uprzejmie, ale z rezerwą. Następne moje spotkanie z Księdzem odbyło się z okazji uformowania się Polskiego Klubu Katolickiego, którego miałem zaszczyt i przyjemność zostać członkiem, a którego Kapelanem został ks. Eugeniusz. Sposób bycia, styl pracy i naturalne ciepło (które ujawniało się dopiero po bliższym poznaniu Księdza) szybko zjednały Mu wielu ludzi, którzy z czasem stali się nie tylko gorącymi Jego orędownikami, ale też często i serdecznymi przyjaciółmi. Był człowiekiem ogromnej wiary, co w połączeniu z Jego innymi talentami czyniło Go naturalnym przywódcą ludzi, którzy tak jak On nie wierzyli, że świat powstał jako rezultat zwykłego przypadku. Dzięki Jego inicjatywom, zarów-

impresz oficjalnych – coraz częściej spotykaliśmy się w bardziej nieformalnych okolicznościach, które to spotkania wspominam zawsze z ogromnym sentymentem.

Spotykaliśmy się z okazji dorocznego Pucharu Melbourne (które nazywaliśmy dla zabawy “Świętem Konia”), korzystając z gościnności wieloletnich księży jezuitów.

Organizowaliśmy także wspólne wyprawy do miejsc czasem bliskich, czasem dalekich, ale zawsze bardzo interesujących. Najbardziej serdecznie wspominam jednak nasze wspólne wyprawy jachtowe. Oprócz wspaniałego żeglowania były wspólne modlitwy, rozważania, Msze Święte na środku jeziora (kiedy jacht stał w dryfie), a także niez-

pomniane wieczory z opowiadaniem, wspomnieniami i dowcipami, wsparte delecto-waniem się dobrymi trunkami i wspaniałym jedzeniem, które nierzadko przygotowywał sam Ksiądz. Nikt z nas nie zapomni Jego naleśników z jagodami, czy smalcu ze skwarkami. Były to wspaniałe, niezapomniane dni. Zabrała Go nam okrutna choroba, którą znośił pogodnie, mężnie i bez skargi. Odszedł od nas niezwykle Człowiek i wielkiego formatu Kapłan. Pozostał w naszych sercach i pamięci. Non omnis moriar.

Wspomina Zbigniew Puszeko

Już pierwsze spotkanie w Domu Sodalicyjnym w Richmond na początku lat osiemdziesiątych wywarło na mnie wielkie wrażenie. Ten jezuita to klasa. Taki kapłan i zakonnik jest nam potrzebny tutaj w Melbourne. Zaczęłam modlić się, by tak się stało. I stało się, choć nie sądzę, aby moje modlitwy przeważały.

Od momentu gdy ks Eugeniusz przyjechał do nas na stałe, starałem się uczestniczyć w Mszach św. odprowadzanych przez Niego. Najbardziej fascynowały mnie Jego homilie. Zawsze wyważone, precyzyjne, trafiające do słuchacza. Gdy często z żoną rozmawialiśmy o nich, nie mieliśmy różnych interpretacji – po prostu homilie Gienska trafiały do nas, do naszych serc, identycznie.

Wtedy też zaczęło mnie dręczyć pytanie: “Co to takiego tkwi w Tym jezuitcie, że swoją postacią, zachowaniem, sposobem mówienia pociąga mnie coraz bardziej ku Bogu”? Po kilku latach stało to się jasne. Ks Eugeniusz po prostu emanował duchowością ignacjańską. Tak też zaczęła się moja przygoda z postacią św. Ignacego Loyoli – założyciela zakonu jezuitów.

Gienek, bo wtedy przeszliśmy na ty, stał się moim przewodnikiem duchowym. Pożyczał mi książki, różne publikacje religijne, wskazywał linki do pożytecznych stron na Internecie. Bardzo często znajdował czas, by spotykać się ze mną i po prostu rozmawiać. Wy-

jaśniał mi to, co było dla mnie pogmatwane. A potrafił robić to znakomicie. Jego zdolność dostrzegania wydarzeń takimi jakimi są i ukazywania różnych opcji działania była doprawdy wyjątkowa.



To właśnie On nauczył mnie ignacjańskiego rachunku sumienia, tego chyba najlepszego narzędzia do rzeźbienia ludzkiego sumienia by uwarliwić je bardziej na głos Boga. To On zachęcił mnie, bym uczestniczył w rekolekcjach ignacjańskich. Tak też się stało i 1993 roku w siedzibie Nowicjatu Towarzystwa Jezusowego Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej w Gdyni odbyłem swe pierwsze rekolekcje. Po powrocie do Melbourne jeszcze bardziej rozumiałem, “wyczuwałem” Gienska.

Wtedy też zacząłem wprowadzać Go w arkana "publikowania zza biurka". Grafika komputerowa, projekty graficzne, przygotowanie materiałów do druku, to wszystko było Mu potrzebne do przygotowywania różnych publikacji katolickich. Spotykaliśmy się więc coraz częściej i częściej. Przy niemal każdej okazji podczas pracy na komputerze rozmawialiśmy też o Bogu, o naszych polonijnych problemach krzewienia wiary, wychowywaniu dzieci i młodzieży w wierze.

Gienek był wspaniałym uczniem i po kilku latach już nie potrzebował mojej pomocy – radził sobie doskonale i to ze swoim komputerem i to z różnymi aplikacjami typu "desktop publishing".

Przez wiele lat Gienek był też moim spowiednikiem i opiekunem duchowym. Jemu to zawdzięczam zakotwiczenie się w duchowości ignacjańskiej, a w dalszej konsekwencji, za namową ks. Słowika, zaciągnięcie się w szeregi Christian Life Community (znanych w Polsce pod nazwą Wspólnot Życia Chrześcijańskiego).

Ostatnie miesiące, gdy choroba Gienka posuwała się coraz dalej, a lekarze odkryli i u mnie podobną chorobę, wspólne cierpienia jakoś dziwnie nas zbliżyły. Nie spotykaliśmy się zbyt często.

Raczej rozmawialiśmy przez telefon. Szczególnie jedna rozmowa utkwiała mi w pamięci. Trwała ponad godzinę. Gienek opowiadał mi o sobie, jak stara

się, w obliczu groźnej choroby i bólu, świadcząc całą postawą o swej wierze. Mówił o sobie, ale ja przykładałem to do siebie. Gdy spotkaliśmy się po raz ostatni w Essendon, Gienkowi zostały, jak lekarze twierdzili, już tylko tygodnie życia. Przede mną stała wtedy konieczność podjęcia decyzji co do dalszego wyboru metody leczenia. Gienek sugerował operację. I na to też się ostatecznie zdecydowałem. Leżąc w szpitalu, gdy próbowałem modlić się – a w bólu nie bardzo mi to wychodziło – po prostu ofiarowałem swe cierpienie za Gienka. Wspominałem tę ważną rozmowę telefoniczną. Staralem się pomóc Mu w przygotowaniu się na spotkanie z Panem. Gienek odszedł wcześniej. Wierzę jednak głęboko, że nadal poprzez granice życia i śmierci przebiega między nami jakaś nitka łączności. Więc będę zwracał się do Gienka, gdy tylko się pogubię i wierzę, że On, tak jak kiedyś, wytłumaczy mi co warto zrobić, jak się zachować.

Dzięki Ci, Gienku, za nieustanne wskazywanie mi i innym drogi do Pana.

Wspomina Kazimierz Waloszek

Gdyby ktoś zapytał mnie o najkrótszą charakterystykę śp. o. Eugeniusza, odpowiedziałbym bez namysłu: niestrudzony głosiciel Dobrej Nowiny.

Niestrudzony, bo pamiętam Go jak dzisiaj, kiedy przyjeżdżał z odległego Essendonu na drugą stronę zatoki po to, aby być z naszą modlitewno-dy-



donu na drugą stronę zatoki po to, aby być z naszą modlitewno-dyskusyjną grupą.

Po wieczornej Mszy św. jechał czterdzieści kilka kilometrów, aby się modlić i mówić o miłości Boga i miłości bliźniego.

Niestrudzony, bo nigdy nie mówił o kłopotach, o trudnościach z dojazdem, po prostu służył Bogu i nam. Był zawsze otwarty na ludzkie problemy, pytania, niepokoje, ale jednocześnie był bezkompromisowy w sprawach prawd wiary. Jeśli ktoś szukał uspokojenia własnego sumienia, kosztem prawd wiary, to odchodził zawiedziony. Zostawali Ci, którzy próbowali żyć Chrystusem na co dzień.

Słowo o. Eugeniusza owocowało w uczestnikach naszej grupy. Przychodzili i wędrowali dalej, przeprowadzając się do innych dzielnic lub stanów. Dostawaliśmy od nich listy, pocztę elektroniczną, a czasem dowiadywaliśmy się o tym, że sami zorganizowali podobne grupy.

Słowo Niestrudzonego Głosiciela Dobrej Nowiny dawało i nadal daje owoce nie ujęte w oficjalnych statystykach czy komunikatach.

Pożegnanie jest zawsze związane ze smutkiem, uczuciem utraty, ale jednocześnie trwają w pamięci słowa o. Eugeniusza o życiu bez końca, o szczęściu oglądania Boga twarzą w twarz, o miłości Boga.

Dziękuję Bogu za to, że postawił o. Eugeniusza na drodze mojego życia. Żegnaj dzisiaj Przyjaciela i Kapłana, który zostanie na zawsze w mojej pamięci jako naśladowca Chrystusa Dobrego Pasterza.

Wspomina Józefa Jarosz

Kiedy w lutym 1989 roku wstąpiłam do Pol-

skiego Klubu Katolickiego, ks. dr Eugeniusz Ożóg zafascynował mnie swoją duchowością, olśnił intelektem i onieśmielił erudycją. Ta fascynacja i to onieśmienie trwały do końca Jego dni. Niemal każde spotkanie klubowe było dla mnie wydarzeniem, na które czekałam cały miesiąc. Otwartym sercem i umysłem chłonełam mądre i głębokie wypowiedzi ks. Eugeniusza, ale rzadko starczało mi odwagi, żeby zabrać głos; czułam się mała w jego obecności. On to chyba wyczuwał, bo szczenił mi ciętych uwag, a czasem udzielał drobnych pochwał. Nawet najmniejsze uznanie z Jego strony, na przykład za przygotowanie programów poetyckich na spotkania klubowe czy na spotkanie kół różańcowych, miało dla mnie duże znaczenie. Butelkę wina mszalnego, jaką otrzymałam w podzięcie za udział w przygotowaniu programu artystycznego na setną rocznicę urodzin kard. S. Wyszyńskiego, trzymałam sześć lat na absolutnie nadzwyczajną okazję, a duży notatnik dla redaktora „Tygodnika”, służy mi do dziś i będzie dla mnie cenną pamiątką. Dziękuję Bogu za to, że miałam możliwość poznać śp. ks. Eugeniusza Ożoga i z nim współpracować.

Chętnie podkreślam, że pochodzimy z tych samych stron Polski – z okolic Rzeszowa. Uważam, że Jego wielkość dodaje blasku naszym rodzinnym stronom.

Wspomnienia niektórych członków Polskiego Klubu Katolickiego zebrała Józefa Jarosz.

Prawie wszystkie teksty zostały udostępnione dzięki uprzejmości Redakcji Tygodnika Polskiego za co serdeczne podziękowania składa opracowujący niniejszą wkładkę Zbigniew Puszko.